

Sukces rządu – klęska stoczniowców

12 grudnia 2008

Udało nam się uratować stocznie – tak Donald Tusk skomentował zawarcie porozumienia między rządem a związkami zawodowymi w sprawie tzw. specustawy stoczniowej.

Mówiąc te słowa, Tusk miał zapewne na myśli: udało nam się zwolnić stoczniowców, i to za nieduże pieniądze, oraz zlikwidować stocznie. Taki będzie główny efekt wejścia w życie ustawy. Rząd Tuska może odtrąbić kolejny sukces, odniesiony kosztem pracowników.

Przypomnijmy – w projekcie ustawy chodzi o to, że majątek Stoczni Gdynia i Stoczni Szczecińskiej Nowa ma być podzielony na części i sprzedany w przetargach. Pieniądze trafiają do prywatnych „wierzycieli”. Niektórzy z nich – np. Rami Ungar – już nieźle dorobili się na stoczniach, odkupując statki poniżej kosztu wykonania i sprzedając je z wielokrotnym zyskiem, co było jednym ze źródeł „zadłużenia” stoczni.

Oczywiste jest, że ten sposób „ratowania” stoczni nie uratuje miejsc pracy – dlatego też głównym punktem negocjacji między rządem a związkami zawodowymi były odprawy i programy osłonowe dla zwalnianych pracowników. Ilu ludzi straci pracę? Tego nikt oficjalnie nie mówi, jednak może to być około 40 proc. pracowników. Kilka tysięcy ludzi.

Stoczniowe związki nie protestowały przeciwko zwolnieniom – walczyły tylko o wysokość odpraw. Mało skutecznie. Żądano od 25 do 100 tysięcy złotych, ostatecznie ma być od 15 do 60 tys. To mało. Zwłaszcza, jeśli uwzględnimy podatek, jaki stoczniowcy będą musieli odprowadzić od tych kwot. Na odprawy w wysokości 60 tys. mogą liczyć tylko pracownicy z ponad 25-letnim stażem pracy, najmłodszy będą musieli się zadowolić marnymi 15 tysiącami. Tymczasem – na co wskazywali sami

związkowcy – często to najmłodszy pracownicy znajdują się w najgorszej sytuacji. Są obciążeni kredytami, mają do wychowania dzieci.

W rzeczywistości te pieniądze mogą być znacznie mniejsze – 100 procent odszkodowania dostaną tylko ci, którzy sami zdecydują się na odejście już w styczniu, 80 proc. – ci, którzy „dobrowolnie” odejdą w marcu. Pozostali – tylko 50 proc. Tak więc ci, którzy nie zdecydują się na odejście i szukanie nowej roboty w ciągu najbliższych miesięcy, zobaczą tylko połowę pieniędzy... Wspaniały wybór!

Czy można się zresztą dziwić, że tak mało udało się wynegocjować, jeżeli związkowcy, choćby przedstawiciele „Solidarności” ze Stoczni Gdynia, od początku sugerowali, że są gotowi zrezygnować ze znacznej części postulatów i chwalili się tym przed dziennikarzami?

Związki, zgadzając się na zwolnienia, od początku postawiły się na przegranej pozycji. Co niby mają robić zwalniani stoczniowcy z niewielkimi odprawami? Poszukać nowej pracy? Wiadomo przecież, że likwidacja znacznej części stoczni to katastrofa dla całej lokalnej gospodarki – liczba dostępnych miejsc pracy znacznie się zmniejszy. Wyjechać do Norwegii? A może, jak doradzano górnikom zwalnianym za rządów Buzka, założyć własne firmy? Specjaliści od rynku pracy opowiadali, że nie ma problemu z dostaniem pracy, bo w urzędach pracy są oferty. Nie dodawali, że te oferty pochodziły głównie ze stoczni, które teraz mają być zlikwidowane. Zwalniani stoczniowcy mieliby się więc zatrudniać w stoczniach, z których właśnie zostali zwolnieni i które za chwilę przestaną istnieć. Absurd.

– To sukces rządu – pieje z zachwyty minister Aleksander Grad. Rzeczywiście, jeżeli przyjąć, że dla rządu najważniejsze jest zadowolenie przedsiębiorców, którzy przez lata doprowadzali stocznie do bankructwa przez nierentowne kontrakty i tych, którzy teraz rzucają się na wyprzedawany majątek. To oni będą

głównymi wygranymi. Kilka tysięcy stoczniowców znajdzie się zaś na bruku, pozostawionych samym sobie.

Wszystko to i tak optymistyczny scenariusz – według którego znaczna część produkcji stoczniowej zostaje zachowana i zatrudnienie znajduje część obecnej załogi. Nie ma jednak żadnej gwarancji, że tak będzie. Równie dobrze zlikwidowana może zostać cała produkcja statków. W miejscu stoczni powstaną apartamentowce, hotele, w najlepszym razie – zakłady do spawania konstrukcji stalowych, zatrudniające kilkaset osób. W takim wypadku osób, które stracą pracę, będzie znacznie więcej – kilkanaście tysięcy samych stoczniowców, a łącznie z zależnymi od stoczni miejscami pracy – nawet 80 tysięcy ludzi. Jediną gwarancją, że tak się nie stanie, są niewiele warte obietnice rządu i inwestorów.

O obietnicach Tuska wszyscy już wiedzą, ile są warte. Jeżeli chodzi o obietnice pracodawców, to przypomnijmy sytuację Stoczni Gdańskiej. Przed prywatyzacją ISD Polska obiecała zwiększanie produkcji i podwyżkę pensji. Obecnie stoczniowcy z Gdańska mają płace nawet o 700 zł niższe, a ponad 70 proc. załogi ocenia, że pracodawca nie wypełnia zobowiązań zawartych w umowie prywatyzacyjnej. Ostatnio zaś ISD grozi, że bez dodatkowej pomocy publicznej stocznia czeka bankructwo i zwolnienie całej załogi.

Obecne porozumienie jest klęską. Stoczniowcy razem, przy udziale innych grup zawodowych, mieli szansę bronić swoich zakładów i miejsc pracy. Jeżeli dadzą się podzielić, to wkrótce zostaną z nich odizolowane grupki. A potem wszyscy wylądują na bruku.

Autor: Wojciech Orowiecki

Źródło: [Trybuna Robotnicza](#)